

Polska Egzotyczna

2004



Wstęp

Rosyjscy staroobrzędowcy, muzułmańscy Tatarzy, piękne kościoły, drewniane cerkwie, stare synagogi, meczety, mizary i żydowskie kirkuty to wszystko tworzy klimat "Polski Egzotycznej" trasy biegnącej od Suwałk wzdłuż wschodniej granicy Polski. Nieodłącznym elementem tego klimatu jest krajobraz i przyroda: cudowne krajobrazy Suwalszczyzny, dzikie tereny puszczy Augustowskiej i Białowieskiej, otwarte pejzaże Białostoczczyzny i pełne ciszy doliny przygranicznych rzek. Tym szlakiem podążaliśmy przez 8 dni pokonując na rowerach prawie 600 kilometrów...

Pociągiem do Suwałk

Jest 30 lipiec 2004 roku. Wstajemy o 6 rano, ładujemy rowery z bagażami na starego Żuka, który zawiezie je nam 45 km do Międzyrzecza Podlaskiego, gdzie jest najbliższa od Parczewa

czynna linia kolejowa. Sami dojeżdżamy tam autobusem, odbieramy rowery i o 12:20 wsiadamy do pociągu jadącego do Warszawy. Z Warszawy Wschodniej do Suwałk wyruszamy pociągiem „Konopnicka” punktualnie o godzinie 15:24. Pociąg ten nieprzystosowany jest do przewozu rowerów, ładujemy więc je w przejście w końcowym wagonie i do Białegostoku z braku miejsc w przedziałach jedziemy koło nich, siedząc w przejściu na czym się tylko da. Jest bardzo gorąco i niewygodnie. W Białymstoku przedział się zwalnia i do samych Suwałk jedziemy w luksusach. Mijamy Sokółkę, Augustów i o godzinie 20:25 jesteśmy na miejscu. Na nasz pierwszy nocleg, w schronisku w Białej Wodzie, docieramy po 21-ej. To bardzo przytulne, ciche i tanie schronisko młodzieżowe na wsi pod Suwałkami. Rzeczywiście, oprócz nas nocuje tam tylko trzyosobowa rodzina z Chełma. Jesteśmy zmęczeni całodzienną jazdą polskimi kolejami więc po kolacji i prysznicu szybko zasypiamy.

Suwalski Park Krajobrazowy

To co od razu rzuca się w oczy na Suwalszczyźnie to oddalone od siebie domy oraz niewielka gęstość zaludnienia. Zaskoczeni jesteśmy także krajobrazem, falistym, z całkiem niemałymi, ale łagodnymi wzniesieniami. Naszą wyprawę zaczynamy od spotkania z egzotycznymi Jaćwingami, a ściślej z tym co po nich jeszcze zostało. Dzięki pomocy miejscowego człowieka znaleźliśmy w końcu drogę na rezerwat archeologiczny „Cmentarzysko Jaćwingów” znajdujący się w lesie na północ od Suwałk. Jaćwingowie, nazwani przez Czesława Miłosza „Indianami Europy” byli dzikim plemieniem żyjącym do XIII wieku na terenach współczesnej Suwalszczyzny. Byli znani z męstwa i waleczności, przez cały wiek XIII toczyli walki z rycerstwem polskim i ruskim. Ostatecznie zostali pobici przez Krzyżaków w 1283 roku. Dzisiaj pozostały już tylko nazwy pochodzenia jaćwieskiego oraz fragmenty jaćwieskich grodzisk i cmentarzysk. Kilka kilometrów ładnym lasem i dojeżdżamy na najlepiej zachowany na tych terenach cmentarz Jaćwingów. Na pierwszy rzut oka widać tylko nieduże wzniesienia pośród których leżą porozrzucane, wydaje się, że w jakimś ustalonym, tajemniczym porządku kamienie. To właśnie jaćwieskie kurhany, wspólne groby wojowników... Nad nimi wśród drzew i bujnej roślinności unosi się cisza minionych wieków...

Wyjeżdżamy z lasu i docieramy nad mające 14 kilometrów długości jezioro Szelment. Tam robimy sobie krótki odpoczynek i podjeżdżamy pod Górę Cisową, słynną Suwalską Fudżijamę, która stała się symbolem całej Suwalszczyzny. Zostawiamy rowery na dole i wdrapujemy się na liczącą 256 metrów górę, skąd rozpościera się przepiękny widok na niemal cały Suwalski Park Krajobrazowy. Na szczycie czeka na nas niespodzianka. Spotykamy znajomego przewodnika, którego poznaliśmy dziś rano szukając rezerwatu Jaćwingów. Razem podziwiamy więc piękne widoki na tę krainę jak z bajki... Otrzymujemy dyplom zdobycia Góry Cisowej i kierujemy się na kolejną słynną górę Suwalszczyzny - Górę Zamkową...

Dojazd na Górę Zamkową jest naprawdę uroczy. Jedziemy cały czas leśną ścieżką, pod górę, mając za drzewami widok na leżące u jej stóp jezioro Jęglówek. Górę pokrywa łąka z ziołami i polnymi, barwnymi kwiatami. W przeciwieństwie do Góry Cisowej obleganej przez turystów tutaj nie ma zupełnie ludzi. Spotykamy tylko dwóch rowerzystów, którzy wskazują nam dalszą drogę - czarnym szlakiem przez gęsto zarośnięty las do kolejnego etapu naszej wędrówki - wsi

staroobrzędowców, Wodziłek. Przeprowadzamy się przez las, gęste krzaki i mokradła. Przez większość drogi nie da się jechać, musimy więc prowadzić rowery. Ale warto! Czujemy się jak w Amazonii, a znajdujemy się w samym sercu Suwalskiego Parku Krajobrazowego...

Po godzinie docieramy do małej (zaledwie liczącej kilka domów) wsi Wodziłki, zamieszkałej w większości (przez ok. 10 rodzin) przez rosyjskich staroobrzędowców. Staroobrzędowcy to sięgający XVII wieku rosyjski odłam prawosławia. W 1667 roku zostali oni poddani okrutnym prześladowaniom przez władze carskie i cerkiewne i tak właśnie - chroniąc się przed represjami - emigrowali poza granice Rosji trafiając m.in. na Suwalszczyznę. W 1778 roku założyli wieś Wodziłki, w której po dziś dzień żyją. Do naszych czasów zachowali oni swój język, religię i zwyczaje. Staroobrzędowcy modlą się w świątyniach zwanych molennami. Niestety molenna w Wodziłkach, pochodząca z końca XIX wieku otwierana jest kilka razy do roku w czasie większych świąt. Klucz do niej znajduje się w Suwałkach u nastawnika, proboszcza molenny, więc oglądamy ją tylko z zewnątrz. Molenna jest miejscem świętym dlatego niechętnie udostępniana jest do zwiedzania turystom.

Nieodłącznym elementem obejścia staroobrzędowca jest niewielki drewniany domek zwany przez nich banią. Zazwyczaj stoi on w pobliżu źródła lub zwykłego bajora. Jest to rodzaj sauny, łaźni z kamiennym piecem - bannikiem, stanowiącym centralną część bani. Kamienie w banniku rozgrzewa się do odpowiedniej temperatury, a jak wiadomo rozgrzane kamienie trzymają bardzo długo ciepło. Bania rodziny o typowo rosyjskim nazwisku Markow, w której to bierzemy kąpiel, tak jak każda bania składa się z dwóch części. W przedsionku zostawiamy ubranie i wchodzimy do rozgrzanego pomieszczenia, w którym pod ścianami ustawione są drewniane ławki i umieszczone na prawie metrowej wysokości półki. Wnętrze bani pachnie niezapomnianym zapachem mieszanki dymu i gałązek brzoźowych. Wnętrze łaźni wypełnione jest wonną parą, którą od czasu do czasu podgrzewamy lejąc na kamienny piec gorącą wodę. Odważni i ciekawi wchodzimy na górną półkę, bojąc się o siebie szybko z niej schodzimy. Para idzie przecież do góry i temperatura na najwyższej półce sięga prawie 70 stopni Celcjusza. Trudno z gorąca wytrzymać. Skóra poci się wszystkimi porami, a wraz z potem wychodzi to wszystko co brudne i nieczyste w nas. Teraz możemy zrozumieć dlaczego staroobrzędowcy na znak oczyszczenia biorą kąpiel przed każdym nabożeństwem w świątyni. Do rytuału należy (jeśli o nas chodzi to nie zaprawieni z tego gorąca nie mamy czym już oddychać) wybiec z bani i od razu zamoczyć się w lodowatym źródle co z ulgą czynimy. Doznajemy szoku ze spotkania rozgrzanego ciała z lodowatą wodą i wchodzimy z powrotem do rozgrzanej bani... Rytuał ten powtarzamy trzy razy i za każdym razem jest to dla nas wielkie przeżycie. Polecamy każdemu! Taka kąpiel wyciąga z ciała wszystko - brud, zmęczenie jak też i niektóre choroby. Samopoczucie po tak odbytej kąpeli jest naprawdę wspaniałe. Jeśli ktokolwiek z Was będzie miał okazję z bani skorzystać gorąco polecamy. Jest to przeżycie niezapomniane!

Po kąpeli w bani odwiedzamy jeszcze leżący w pobliżu wsi cmentarz na którym oglądamy kilka ciekawych nagrobków i kierujemy się dalej stromymi podjazdami po polnej, zwirowej drodze. Pokonujemy kolejny z takich podjazdów, kiedy nagle - absolutnie nic tego nie zapowiadało - głodni i spragnieni, widzimy niepozorny, samotny domek, a przy nim taką samą niepozorną tabliczkę z napisem „Zapraszamy na drożdżówki i świeże zimne mleko”. Nie wiemy czy dlatego że jesteśmy tak głodni, ale połączenie tej domowej, drożdżowej bułki z zimnym, prosto od

krowy mlekiem jest idealne. Posileni kierujemy się dalej do Błaskowizny, gdzie znajduje się rzadki w tych stronach sklep, a przy nim bar, gdzie zamawiamy na obiadokolację porcję regionalnych - spotykanych tylko na tych terenach i na Litwie - karczanów, dużych, tłustych pyzów z mielonym mięsem. Po karczanach zwiedzamy rezerwat przyrody „Głazowisko Bachanowo” - duże skupisko głazów narzutowych, których w tych okolicach jest kilka tysięcy. Porozrzucane one są na okolicznych łąkach i polach, gdzie zbierają je i układają przy drogach rolnicy, którym przeszkadzają w wykonywaniu prac polowych. „Głazowisko Bachanowo” to jedno z większych skupisk narzutów na tych terenach.

Jest godzina 19, pora szukać noclegu. Dojeżdżamy do miejscowości Nowa Pawłówka i tam właśnie rozbijamy namiot na podwórku u bardzo miłych i gościnnych ludzi. Zostajemy zaproszeni na kolację która przebiega w miłej atmosferze wspólnej rozmowy. W żadnym już chyba innym rejonie kraju nie zetknemy się z tak serdeczną gościnnością i otwartością miejscowych ludzi. Po kolacji, będąc już w namiocie prawie zasypiamy, kiedy nagle słyszymy, że ktoś nas woła. Okazuje się, że sąsiedzi naszych gospodarzy grillują i serdecznie zapraszają „turystów”. I tak siedzimy z nimi przy ognisku do północy rozmawiając i popijając dobre, zimne piwo...

Dolina Czarnej Hańczy i Stańczyki

Na niedzielne śniadanie zostajemy zaproszeni przez naszych gościnnych gospodarzy, które przeciąga się do 10-tej wśród serdecznej atmosfery. Nieczęsto się teraz spotyka tak otwartych i gościnnych ludzi...

Niestety, dzień zaczyna się dla nas pechowo. W drodze z Nowej Pawłówki, gdzie nocowaliśmy do Turtulu w tylnym kole Grzeška roweru pęka szprycha. Ma przeładowany bagażami tył, jedziemy drogą polną, pełną kamieni i na jednym z nich koło nie wytrzymuje. Nie zabraliśmy ze sobą klucza do wielotrybu, pozostaje więc jazda na scentrowanym z tyłu kole do najbliższej większej miejscowości. Na naszej trasie tą miejscowością będą dopiero za 100 km Sejny... Trudno, na następną wyprawę musimy być lepiej przygotowani w narzędzia...

W Turtulu wchodzimy na stromą skarpę gdzie usytuowany jest doskonały punkt widokowy na Dolinę Czarnej Hańczy. Czarna Hańcza jest bardzo bystrą, przypominająca górski potok rzeką. Płynie tutaj wartkim, szybkim nurtem w głębokiej dolinie, którą przemierzamy - łamiąc zakaz - nie przystosowanym dla rowerów szlakiem. Chociaż jest to najcięższa przeprawa na całej naszej wyprawie to widoki w pełni rekompensują poniesiony trud. O jeździe rowerem już po pierwszych kilkudziesięciu metrach możemy zapomnieć... Ale idąc dokładniej podziwiamy widoki na Dolinę Czarnej Hańczy, które w tym miejscu są cudowne. Same geomorfologiczne cuda! Widzimy po drodze najładniejszy w kraju oz turtulski, ciąg kilometrowych podłużnych pagórków biegnących w głąb doliny, na których pasą się beztrudnie krowy. Dalej mamy widok na kolejną osobliwość - wiszącą dolinę pod Kruszkami, przez miejscowych zwaną doliną Gaciską. Sielskość tych pejzaży zakłócają nam tylko wąskie kładki ze schodkami (po co je tutaj ktoś postawił tego nie wiemy - miały być atrakcją turystyczną czy chęcią zrobienia na złość temu kto odważył się wejść na szlak z rowerem?). Każda przeprawa przez taką kładkę kosztuje

nas mnóstwo energii i wysiłku. Na naszych rowerach są bagaże, z których każdy waży prawie 20 kilogramów i przeprowadzenie roweru przez tak wąską kładkę jest nie lada wyczynem.

Pomagając Ani w przeniesieniu roweru na jednej z takich właśnie kładek Grzesiek zostawia aparat z dokumentami, telefonem i wszystkimi pieniędzmi w jego futerale. Dopiero po prawie 1,5 kilometra (pół godziny drogi) od tego miejsca orientuje się, że jest mu za lekko i nie ma aparatu, który zawsze przewieszony jest przez jego ramię. Jak szybko zawrócił i pobiegł w miejsce, gdzie położył aparat możecie sobie sami wyobrazić. Mijał po kolei kładki: pierwszą, drugą, trzecią... Na czwartej kładce aparat leżał dokładnie w tym samym miejscu w którym go zostawił. Jest to możliwe tylko tutaj - cała przeprawa Doliną Czarnej Hańczy zajęła nam prawie 3 godziny i przez ten czas spotykamy tylko dwójkę turystów. W innym miejscu aparatu by już pewnie dawno nie było. To drugi z dzisiejszych naszych pechów, ale na szczęście ostatni. Po tym zdarzeniu spokojni i uważni na piękny krajobraz Doliny Czarnej Hańczy dochodzimy do miejsca, w którym rzeka wpływa do najgłębszego jeziora w Polsce - mającego 108,5 metra głębokości (!!!) - jeziora Hańcza, stanowiącego w całości rezerwat przyrody. Nad jeziorem spotykamy pierwszych rowerowych turystów - parę studentów z Gliwic. Razem z nimi dojeżdżamy nad cichą zatokę, gdzie nie odmawiamy sobie kąpieli w najgłębszym jeziorze w Polsce. Musimy uważać - jezioro Hańcza ma kamieniste i ostre dno o które łatwo można się skaleczyć. Po kąpieli i obiedzie wyjeżdżamy z Suwalskiego Parku Krajobrazowego i kierujemy się 20 kilometrów na północ, do Stańczyk.

W Stańczykach wchodzimy na najwyższy w Polsce wiadukt - słynny akwedukt Puszczy Romnickiej wzorowany na starożytnych akweduktach. Jego rozmiary są imponujące: 180 metrów długości i 31,5 metra wysokości! Zbudowany w czasach I wojny światowej do dziś jest przedmiotem sporów budowniczych z czego i jak został zrobiony... Nic dziwnego, rozmiary i monstrialny wygląd robi wrażenie niesamowitej, starożytnej budowli. Położony jest także pięknie: na samym skraju Puszczy Romnickiej, którą tutaj, z góry, widać tylko w postaci ciemnych wierzchołków drzew ciągnących się daleko w dal. To ulubione miejsce skoczków na bandzi. I dzisiaj jest tutaj spora grupa amatorów tego ekstremalnego sportu. Zapraszają również i nas do oddania skoku. Pukając się w czoło stanowczo odmawiamy! Fotografujemy akwedukt z różnych stron i jedziemy Puszczą Romnicką następnie 20 kilometrów do Wizajn, polskiego bieguna zimna.

Nazwa miejscowości wywodzi się właśnie z języka jaćwieskiego, a pierwsze o niej wzmianki pochodzą z 1253 roku. Wizajny to pierwsza spotkana przez nas na trasie typowo senno-melancholijna osada przygraniczna. Znana jest jako polski biegun zimna. W Wizajnach jest zawsze zimniej niż gdziekolwiek indziej w kraju. Wystarczy obejrzeć sobie prognozę pogody... A dlaczego tak jest? To już pytanie do meteorologów...

Rozbijamy namiot w sadzie, prawie w centrum Wizajn. W nocy nie możemy zasnąć - cały czas szczeka pies gospodarzy, chyba wyczuł obcych. Kiedy nudzi mu się w końcu szczekanie zaczyna padać mocny deszcz, który dudni dużymi kroplami o nasz namiot.

W Sejnach i na Litwie

Nad ranem ciągle pada. Śpimy więc długo, prawie do 10-tej. Korzystając z chwili, kiedy deszcz trochę ustaje, pakujemy bagaże na rowery, zabezpieczamy śpiwory, namiot i sakwy w worki foliowe, sami nakładamy kurtki przeciwdeszczowe i ruszamy w 46 kilometrową drogę do Sejn, gdzie mamy zamiar schronić się przed deszczem i przenocować tej nocy.

Po drodze pada cały czas mżawka, niebo jest zachmurzone rezygnujemy więc z planu wjazdu na Litwę na przejściu w Budzisku i wyjazdu drugim przejściem w Ogrodnikach. Myślimy tylko o tym aby jak najszybciej dojechać do Sejn. Droga, którą pokonujemy pełna jest górów i ładnych przestrzennych widoków. Przy tym mało uczęszczana przez samochody, a takie drogi lubimy najbardziej.

Do Sejn dojeżdżamy przed 15-tą. Znajdujemy schronisko, które przygotowane jest na czas wakacji w sejneńskim liceum, dostajemy klasę rosyjskiego do swojej dyspozycji. Zostawiamy bagaże i korzystając z poprawy pogody wybieramy się na Litwę. Z Sejn do przejścia granicznego w Ogrodnikach jest tylko 13 kilometrów. Przed granicą w kantorze wymieniamy 25 złotych na 20 litewskich litów i na dowód osobisty przejeżdżamy na litewską stronę.

Jesteśmy na Litwie! Po raz pierwszy... Jedziemy więc do oddalonej 8 km od granicy pierwszej przygranicznej miejscowości, którą jest Lazdijaj. To co odróżnia to miasteczko od polskich miast to brak centrum, takiego jakie widzimy u nas: rynku, głównej ulicy, ciągu sklepów. Tutaj wszystko jest porzucane. Jeden sklep, gdzieś w sąsiedniej uliczce następny, i tak dalej... W przeciwieństwie do niedalekich Sejn mających ciekawy układ miejski i kilka ładnych zabytków w Lazdijaj nie ma dla turysty nic ciekawego. Typowo przypadkowe przygraniczne miasto bez historii. Więc co mamy tutaj robić? Znajdujemy „Jovita Pilstomas Alus”, czyli sklep, w którym oprócz artykułów spożywczych można kupić piwo z kufła (4 rodzaje) i gdzie zamiast kasy fiskalnej jest jeszcze zwykłe drewniane liczydło! Nie możemy uwierzyć własnym oczom! Kiedyś, będąc w Lazdijaj możecie to sprawdzić sami...

Dogadać się po litewsku graniczy niemal z cudem. Na migi więc pokazujemy grubszej sprzedawczyni z którego nalewaka chcemy napić się piwa. Źle trafiamy. Jest to bardzo mocne, ciemne litewskie piwo, coś takiego jak nasz porter. Odwiedzamy także pobliską restaurację. Jemy typowo litewskie danie - zupę z kołdunami, takimi małymi pierogami, a na deser pączka z twarogiem. I po tych „atrakcjach” wracamy tą samą drogą do Sejn.

Jakże to inne miasto niż Lazdijaj! Przytulne, ładne, pełne zabytków. Kiedyś słynące z jarmarków dominikańskich oraz targów grzybowych. Nazwaliśmy Sejn miasteczkiem „ekumenicznym” dlatego, że przez wieki na tych terenach zamieszkiwali ludzie różnych wyznań i kultur: Polacy, Litwini, rosyjscy staroobrzędowcy, Żydzi, Tatarzy, Białorusini, a nawet Niemcy. Teraz kiedy w Sejnach pozostali w większości Polacy kulturę tych narodów propaguje działająca w Sejnach fundacja Pogranicze - sztuk, kultur, narodów skupiająca zapaleńców z całej Polski. I dzięki tej fundacji Sejn stały się centrum życia kulturalnego na pograniczu. Oprócz fundacji działa tutaj teatr sejneński oraz kapela klezmerska teatru sejneńskiego grająca tradycyjną muzykę żydowską. Wszystko to skupione jest wokół sejneńskiej synagogi, w której regularnie odbywają się koncerty, wystawy i spektakle teatralne poświęcone kulturom mniejszości narodowych.

Synagoga powstała w latach 1860-70, a niedawno została gruntownie odremontowana. My także trafiamy tutaj na koncert jazzowy tria ze Śląska. Bardzo przyjemnie słucha się nam w murach synagogi tego zespołu. Po koncercie około 21-ej docieramy do szkoły. Dzisiaj przejechaliśmy w sumie 90 km. Po kolacji i kąpeli idziemy więc spać.

Białostoczczyzna!

Dzisiaj od rana znowu świeci piękne słońce. Zaczynamy dzień od zwiedzania sejneńskiej bazyliki św. Jerzego wzniesionej w stylu renesansowym w latach 1610-19 oraz podziwiamy stojący niedaleko bazyliki XIX wieczny neogotycki kościół ewangeliczny, który jest niestety zamknięty. Na koniec naszego pobytu w Sejnach znajdujemy jedyny w mieście sklep rowerowy i korzystając z narzędzi naprawiamy koło z brakującą, pękniętą jeszcze w Turtulu szprychą.

Żegnamy gościnne Sejny i wjeżdżamy w Puszcę Augustowską, którą jedziemy do Augustowa na pociąg. Puszcza Augustowska to jeden z największych obszarów leśnych w Polsce. Dodatkowym atutem są tutaj liczne jeziora położone w leśnej puszczy. Nic dziwnego, że jest tu aż tylu turystów. Po drodze z Sejn mijamy pięć pięknych jezior i 8 km przed Augustowem skręcamy w lewo w żwirową drogę, którą dojeżdżamy do otoczonego jeziorami Sanktuarium Maryjnego w Studziennicznej. Jan Paweł II odwiedził sanktuarium w czasie pielgrzymki do Polski w roku 1999, kiedy podróżował statkiem po augustowskich jeziorach. Dojeżdżamy na dworzec kolejowy w Augustowie, skąd pociągiem - 70 km (w ciągu całej trasy od Suwałk do Parczewa to jedyny odcinek, kiedy nie jedziemy rowerami - po prostu za krótki mamy urlop i musimy podgonić) - dojeżdżamy do Sokółki. Jesteśmy bardzo głodni, wstępujemy więc do małego baru, który z całego serca wszystkim, będącym kiedyś w Sokółce polecamy. Nazywa się „Cichy Kącik” i jest tam naprawdę rewelacyjnie. Miło, smacznie i tanio. Pani właścicielka to bardzo otwarta i miła osoba, nawiązujemy z nią sympatyczną rozmowę. Zjadamy dużego schabowego z frytkami i kilka rodzajami surówek za 6 złotych (!), obiad palce lizać, po czym opuszczamy Sokółkę udając się w stronę Bohonik.

Tutaj zaczyna się prawdziwa Białostoczczyzna. Drogi są polne, żwirowe albo z kamienia. Domy drewniane, niektóre pokryte jeszcze strzechą. Dużo przestrzeni i pustych, niezatłoczonych dróg. Dojeżdżamy do Bohonik, typowej białostockiej wsi, sławnej ze swego meczetu tatarskiego, jednego z dwóch ostatnich czynnych w naszym kraju. Tatarzy pojawili się w Bohonikach w II połowie XVII wieku. Jan III Sobieski w zamian za czynny udział Tatarów w walkach z Turkami darował im gospodarstwa właśnie na tych terenach. I tak muzułmańscy Tatarzy zamieszkali na Białostoczczyźnie. Bohoniki stały się wkrótce lokalnym muzułmańskim centrum religijnym. W miarę upływu czasu liczba Tatarów na Białostoczczyźnie stopniowo się zmniejszała. W samych Bohonikach pozostały już dzisiaj tylko cztery tatarskie rodziny. Jeszcze w latach 70-tych było ich kilkanaście. Niestety prawa ekonomii zmusiły ich do opuszczenia zapomnianych białostockich wsi i migracji do dużych miast w poszukiwaniu pracy.

Bohonicki meczet jest budowlą drewnianą, na pierwszy rzut oka przypominającą cerkiew, z cebulastą kopułą uwieńczoną półksiężycem. Nabożeństwa w meczecie odbywają się - z braku imama - tylko podczas większych uroczystości, a odprawia je imam, który mieszka w Białymstoku. Wnętrze tradycyjnie podzielone jest na dwie części, mężczyźni i kobiety modlą

się bowiem osobno. Pomieszczenie dla kobiet jest znacznie mniejsze i oddziela je od części męskiej ściana, wzdłuż której, na wysokości około metra znajduje się podłużna szpara zasłonięta przejrzystą firanką. W centralnym miejscu meczetu stoi minbar, kazalnica, skąd przemawia imam, na lewo od minbaru jest wnęka zwana mihrab z oknem skierowanym ku Mekce i leżącym na specjalnej, drewnianej podstawie otwartym Koranem. Wnętrze dekorują liczne dywany oraz zawieszane na ścianach muhiry - ozdobne napisy arabskie - zawierające cytaty z Koranu. Nie ma tutaj w ogóle obrazów przedstawiających ludzkie postacie albo zwierzęta. Jest to w islamie ściśle zakazane. Po bohonickim meczecie oprowadza nas pani Eugenia Radkiewicz, tutejsza muzułmanka, żywo i z humorem opowiadając o tutejszej gminie muzułmańskiej, jej historii, religii i zwyczajach. Po zwiedzaniu meczetu udajemy się na leżący za wsią cmentarz tatarski, czyli mizar, największy cmentarz muzułmański w Polsce. To co odróżnia mizar od naszych cmentarzy to oczywiście półksiężyc z gwiazdą zamiast krzyży, a także - to widać bardziej na starszych nagrobkach - dwa obowiązkowe kamienie nagrobne: większy u głowy zmarłego i mniejszy u jego stóp. Wszystkie groby, podobnie jak i meczet są zwrócone w stronę świętego miasta muzułmanów Mekki...

Z Bohonik żwirową, białostocką drogą dojeżdżamy do Malewicz Górnych, gdzie znajduje się najlepiej zachowany na tych terenach wiatrak sokólski, ze wszystkimi czterema skrzydłami i niemal kompletnym wewnętrznym mechanizmem. Kiedy dojeżdżamy pod wiatrak właśnie zachodzi słońce, tworząc na niebie kolorową łunę, a na skrzydłach wiatraku siedzą właśnie dwa bociany. Jest przepięknie! Wszystko w absolutnej ciszy białostockiej wsi... W Malewiczach Górnych rozbijamy namiot na podwórku u sołtysa. Noc jest cicha i spokojna...

Tatarskim szlakiem

Rosyjscy staroobrzędowcy, muzułmańscy Tatarzy, piękne kościoły, drewniane cerkwie, stare synagogi, meczety, mizary i żydowskie kirkuty to wszystko tworzy klimat "Polski Egzotycznej" trasy biegnącej od Suwałk wzdłuż wschodniej granicy Polski. Nieodłącznym elementem tego klimatu jest krajobraz i przyroda: cudowne krajobrazy Suwalszczyzny, dzikie tereny puszczy Augustowskiej i Białowieskiej, otwarte pejzaże Białostoczczyzny i pełne ciszy doliny przygranicznych rzek. Tym szlakiem podążaliśmy przez 8 dni pokonując na rowerach prawie 600 kilometrów... Wstajemy wyspani i wypoczęci już o 7 rano. Piękny poranek na cichej, białostockiej wsi! Kierujemy się - pewni, że jest to asfalt - na główną drogę z Malewicz Górnych do Wojnowców. Ta droga (gdzie indziej byłby to zapewne asfalt, ale my przecież jesteśmy na Białostoczczyźnie!) to zwykłe kocie łby po których nie da się normalnie jechać rowerem. Trzęsie nami niemiłosiernie. My jednak jesteśmy dzielni, nie zawracamy i przez 7 km jedziemy tą „autostradą”. W Wojnowcach, pod sklepem stwierdzamy brak mapownika, w którym byłyby wszystkie nasze mapy i przewodnik, rzeczy niezbędne na każdej wyprawie. Musiał wypaść gdzieś po drodze, kiedy tak nami trzęsło... Ania zostaje pod sklepem i robi śniadanie, Grzesiek natomiast zdejmuje sakwy i jedzie z powrotem kocimi łbami w stronę Malewicz w nadziei, że gdzieś przy drodze znajdzie mapownika. I nie mylimy się! 3 km za Wojnowcami wszystko znajduje się w nienaruszonym stanie. Znowu mamy szczęście... Początek dnia a my jesteśmy zmęczeni przeprawą kocimi łbami. W tym miejscu pragniemy odradzić wszystkim rowerzystom jazdę taką drogą z kamieni. Droga polna albo żwirówka w porównaniu z nią to prawdziwa

autostrada. W Wojnowcach pod sklepem jemy śniadanie i szukamy wiatraku, który według przewodnika stoi gdzieś we wsi. Dowiadujemy się od spotkanego mężczyzny, że i owszem i że nawet to był jego wiatrak, ale w tamtym roku go sprzedał. Dowiadujemy się chwilę później od przypadkowo spotkanej dziewczyny, że były we wsi dwa stare, sokólskie wiatraki, ale za grosze, z tego co mówi (aż nie chce nam się w to wierzyć!) za 200 czy 300 złotych zostały sprzedane. Wielka szkoda! Z jedenastu zachowanych na Sokólszczyźnie unikalnych w skali kraju wiatraków zostało już tylko dziewięć. Rozmawiamy między sobą, że pewnie stoją teraz gdzieś u jakiegoś biznesmena na podwórku lub w jakimś gospodarstwie agroturystycznym dla wielkomiejskich burżujów...

W Wojnowcach - na nasze szczęście - kończy się bruk i zaczyna się żwirówka, która ciągnie się do samych Krynek. 5 km za Wojnowcami, w miejscowości o nazwie Samogród, spotykamy piękną, drewnianą cerkiew z połowy XIX wieku otoczoną gęsto starymi lipami. Jest to pierwsza ze spotkanych przez nas licznych cerkwi na Białostocczyźnie. Niestety jest zamknięta więc oglądamy ją tylko z zewnątrz. Pogodę mamy za wyśmienitą. Blżej południa słońce przygrzewa coraz mocniej. Przed Jurowlanami wstępujemy do prawosławnej kaplicy cmentarnej, która akurat jest otwarta. Batuszka stawia tylko jeden warunek - musimy nałożyć coś na gołe nogi, bowiem cerkiew to miejsce święte. Rozmawiamy o tutejszej parafii prawosławnej, która tutaj jest nieduża, bowiem większą część tutejszej ludności stanowią katolicy. Podziwiamy także na kaplicy oryginalne pokrycie dachowe z wiór. To bardzo stara metoda pokrywania dachów, ale za to bardzo skuteczna i ekologiczna. Kilka minut później w Jurowlanach spotykamy kolejną cerkiew, św. Jerzego z 1870 roku, która służy prawosławnym mieszkańcom kilku innych sąsiednich wsi, bowiem w Jurowlanach mieszkają wyłącznie katolicy. Ta dziwna sytuacja, spotykana także w innych przygranicznych miejscowościach powstała w ten sposób, że tuż po wojnie władze radzieckie wywoziły prawosławnych mieszkańców przygranicznych wsi w głąb Białorusi, traktując ich jak Białorusinów (choć prawosławny nie musi być od razu „ruskim”!), zaś na ich miejsce przesiedlali katolików (choć i katolik nie musi przecież być od razu Polakiem). Z Jurowlan, 6 km szerokim, żwirowym gościńcem dojeżdżamy do kolejnej spotkanej przez nas na wyprawie sennej, przygranicznej miejscowości, Krynek.

Krynki to jedno z najpiękniejszych miasteczek kresowych, mających ciekawą i długą historię. Już w I połowie XVI wieku w Krynkach osiedlili się Żydzi. Przed wojną to właśnie oni stanowili większą część ludności miasta. W mieście, w tym czasie działało 5 synagog i 2 chasydzkie domy modlitwy. Zagładę kryńskim Żydom przyniosła II wojna światowa. W Krynkach Niemcy utworzyli żydowskie getto, które zlikwidowali w 1943 roku przewożąc Żydów do obozu zagłady w Treblince. Dzisiaj w Krynkach panuje specyficzny, trudny do opisanego nostalgiczny, kresowy nastrój. W poszukiwaniu owego nastroju jeździmy po brukowanych uliczkach i zaułkach, zabudowanych starymi drewnianymi domami, które poza czterema szosami wylotowymi wypełniają całe Krynki nadając im swoisty urok. W jednym z takich właśnie zaułków natrafiamy na położony na nasłonecznionym zboczu stary, zarastający cmentarz żydowski, czyli kirkut założony w 1622 roku. Kamienie nagrobne, których tutaj jest ponad 2 tysiące są malowniczo poprzekrzywane na wszystkie strony i toną w wysokich trawach. W zaułku tym, jak miejscowi go zwą zagumiennym, natrafiamy także na kryte jeszcze strzechą domy i stodoły. Po zwiedzaniu kirkutu wracamy do centrum i odnajdujemy jedną z dwóch pozostałych po Żydach synagog, w której obecnie mieści się kino. Odwiedzamy duży, neogotycki kościół katolicki oraz

murowaną cerkiew z XVIII wieku i kierujemy się w stronę Kruszynian, do których z Krynek mamy zaledwie 10 km.

Kruszyniany! To druga po Bohonikach białostocka wieś z meczetem i Tatarami. Dzisiaj w Kruszynianach zostały już tylko dwie rodziny tatarskie: Chaleckich i Popławskich, w sumie zaledwie kilka osób. Tak jak wszędzie i tutaj dzieje się podobnie. Młodzi wyjeżdżają do miast, a starzy wymierają. Prawa ekonomii dosięgły również polskich Tatarów... Muzułmański Związek Religijny w Polsce liczy 6 gmin wyznaniowych, w sumie niecałe 2000 osób. Jedynie w trzech miejscowościach w Polsce istnieją czynne meczety. Właśnie w odwiedzanych przez nas Kruszynianach, w Bohonikach, gdzie byliśmy wczoraj oraz nowo wybudowany meczet w Gdańsku.

Długą na prawie dwa kilometry ulicówką z tradycyjną zabudową wiejską dojeżdżamy do sanktuarium polskich Tatarów, starszego od bohonickiego, meczetu w Kruszynianach. Meczeta ten jest przykładem połączenia tradycji islamu z lokalną tradycją budownictwa sakralnego. Zbudowany w końcu XVIII wieku posiada trzy wieżyczki zwieńczone niewielkimi kopułami ze złocistymi półksiężycami. Wnętrze meczetu ma tradycyjny układ, identyczny jak meczet w Bohonikach. Po kruszyniańskim meczecie oprowadza nas pan Popławski, pełniący pieczę nad tym zabytkiem. Po wyjściu z meczetu spotykamy parę starszych rowerzystów z Holandii. Ciężko nam idzie rozmowa. Rozumiemy po angielsku tylko to, że jadą na rowerach dookoła Polski, wyruszyli z Gdańska i dzisiaj chcą dotrzeć do Białowieży. Robimy zdjęcie na pamiątkę tego spotkania i jedziemy na położony na wschód od meczetu mizar - cmentarz tatarski. Odczytujemy na tablicach nagrobnych egzotyczne imiona: Fati, Dżemil, Aladyn, Osman, Chaim, odnajdujemy w gęstwinie traw kilka starszych nagrobków i ruszamy zjeść na obiad coś tatarskiego. Zamawiamy pierogi w rosole w zestawie z herbatą. Czekaając na obiad spotykamy drugą parę rowerzystów, tym razem z Łosic. Z nimi rozmawia się znacznie łatwiej... Po obiedzie ruszamy w dalszą drogę...

Za Kruszynianami przy samej granicy z Białorusią obszar ugorów i piaszczystych nieużytków przypomina prawdziwe stepy. Z Bobrownik do Jałówki - 30 km - jedziemy tuż przy samej granicy - całą drogę polnymi albo żwirowymi drogami - mijając cały czas tabliczki z ostrzegawczym napisem „Granica państwa - przekraczanie zabronione”. Tereny przygraniczne, którymi jedziemy, w miejscu, w którym płynie rzeka Świsłocz bez przesady przypominają stepy. Mijamy po drodze wsie o ładnie brzmiących, białoruskich nazwach: Gobiaty, Świsłoczany, Mostowlany, Dublany, Kondratki, w których mieszka ludność prawosławna, przeważnie białoruska. Wsie te wtopione są w krajobraz doliny Świsłoczy radujący nasze oczy łagodnie sfalowanymi pagórkami, polami i łąkami ciągnącymi się ku granicznej rzece. Kiedy przez nie przejeżdżamy mamy wrażenie, że są to miejsca, w których zatrzymał się czas. Białoruskie wioski w dolinie Świsłoczy niestety powoli wyludniają się. Młodzi wyjeżdżają do miast, a we wsiach zostają starsi, których ulubionym zajęciem jest przesiadywanie od zmierzchu do świtu na drewnianych ławkach przed starymi domami...

W Mostowlanach, pośrodku wsi spotykamy otoczoną murem zabytkową drewnianą cerkiew z 1862r., niestety znowu zamkniętą. Przez Kondratki szerokim żwirowym gościńcem wzdłuż lasu dojeżdżamy do Jałówki, większej miejscowości z zadrzewionym rynkiem w centrum. W Jałówce oglądamy górującą nad miasteczkiem potężnie zbudowaną murowaną cerkiew prawosławną.

Ta duża budowla wygląda dość dziwnie pośród tych drewnianych chat i strzech... W rynku jemy kolację i ruszamy ku przeprawie na drugą stronę olbrzymiego zbiornika Siemianówka, mijając po drodze ostatnią stację kolejową po polskiej stronie - Cisówkę, leżącą gdzieś przy granicy, zagubioną w odludnej okolicy lasów i bagien.

To dopiero jest przeprawa! Pięciokilometrowa jazda nasypem wzdłuż torów kolejowych mając po obu stronach ciągnący się w dal zbiornik Siemianówka. Panuje aura powoli zachodzącego słońca, co dodaje naszej przeprawie smaku i uroku. Na wschód od torów rozciąga się rozległy obszar podmokłych łąk i bagien, na zachód sięgające po horyzont, wody zbiornika, z pejzażem łódek z rybakami na tle zachodzącego słońca. W pewnym momencie, przed samą Siemianówką nasyp kolejowy kończy się i pozostaje nam tylko przeprawa torami i kolejowym mostem żelaznym. Do Siemianówki wjeżdżamy około 20-tej. Od razu znajdujemy świetny nocleg u bardzo gościnnych ludzi. Rozbijamy namiot w ich obejściu i będąc cały dzień w podróży z ulgą i chęcią korzystamy z prawdziwej łązienki. W nocy leżąc w namiocie słyszymy dudnienie, jakby przebiegało stado dzików! Może te odgłosy są wynikiem rozbudzenia, ale tak dudni, że wystawiamy niepewnie głowy z namiotu aby sprawdzić co to może być. Okazuje się, że to tylko mały pies gospodarzy biegając wkoło pilnuje w nocy naszego namiotu... Wybuchamy śmiechem i robi nam się w nocy bardzo wesoło...

W Puszczy Białowieskiej

Z samego rana zaproszeni jesteśmy przez naszych gościnnych gospodarzy na śniadanie, które okazuje się tak naprawdę obiadem. Zupa, baba ziemniaczana (smażone kartofle - pycha!), kotlecik. Żegnamy się z gospodarzami długo - tak miłych i gościnnych ludzi nie często się teraz spotyka. W tym miejscu chcemy ich bardzo serdecznie pozdrowić i jeszcze raz podziękować za miłe przyjęcie... To kolejny raz, kiedy na wyprawie spotykamy się z tak serdeczną gościnnością...

Z Siemianówki dojeżdżamy do Narewki i tam wjeżdżamy w odstępny Puszczę Białowieską, którą będziemy jechać 20 km do samej Białowieży. Puszcza Białowieska jest kwintesencją polskich puszczy i najwspanialszą z tych, które mijamy po drodze. Ma łącznie 1250 km² powierzchni, z tego w granicach Polski leży 580 km. Mieszanka drzew o niespotykanych rozmiarach, posępność i dzikość nadają tej puszczy niepowtarzalne piękno oraz specyficzny nastrój. Historię Puszczy Białowieskiej ma naprawdę imponującą i ciekawą. Nic dziwnego, takie bogactwo przyciągało do siebie licznych królów i zmieniające się władze. Historia Polski na tych terenach jest także historią Puszczy Białowieskiej. Rozprawa na długą książkę... Bogactwo szaty roślinnej jest tutaj ogromne. Nigdzie więcej nie występuje także taka ilość dzikich zwierząt leśnych jak w Puszczy Białowieskiej. Wśród nich jest oczywiście król puszczy - żubr. Nam niestety przejeżdżając przez puszcze nie udało się go spotkać...

Wjeżdżamy do centrum puszczy - do Białowieży... Zwiedzanie zaczynamy od skansenu leżącego na łąkach nad rzeką Narewką. Skansen ten powstał z inicjatywy grupy zapaleńców, którzy sami wyszukiwali na tych terenach odpowiednie obiekty, wykupywali je od właścicieli i przenosili do skansenu. Po zwiedzaniu skansenu jedziemy do parku pałacowego, w którym mieści się muzeum Białowieskiego Parku Narodowego, nowoczesny kompleks

wielopoziomowy. Ekspozycja robi podobno duże wrażenie. Widz czuje się jak w prawdziwej puszczy, słysząc odgłosy dzikich zwierząt i lasu. My ze względu na dużą liczbę turystów oraz ze względu na to, że wejście do muzeum odbywa się tylko w wyznaczonych grupach z przewodnikiem - rezygnujemy z tej niewątpliwej atrakcji, w myśl zasady, że wszystkiego i tak nie da się zobaczyć. Oglądamy za to dworek myśliwski cara Aleksandra II i jedziemy na uroczy mostek na białowieskim deptaku. Odwiedzamy po drodze cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy, która swoim ciężkim wyglądem nam nie imponuje i przez Zastawę, czyli część osady położoną za stawami kierujemy się na drogę do Hajnówki, aby 2 km za Białowieżą skręcić w las i ścieżką przyrodniczą starodrzewów dojechać do pokazowego rezerwatu żubrów i innych leśnych zwierząt. Tam oprócz żubrów, saren, wilków, dzików i tarpanów spotykamy również - co jest dla nas kolejną miłą niespodzianką na wyprawie - parę rowerzystów z Holandii, których to poznaliśmy wczoraj w Kruszynianach. Po miłych, przyjacielskich pozdrowieniach, dokładnym obejściu rezerwatu i kupieniu miłej pamiątki w postaci drewnianego dzbanka, w którym trzymamy teraz nasz ślubny, zasuszony bukiet kwiatów wyjeżdżamy na szosę do Hajnówki. Do samego miasta, przez 21 km jest Puszcza Białowieska, jedzie więc nam się - mając po obu stronach gęsty, puszczański las -wys്മienicie.

W Hajnówce najpierw kierujemy się do największej cerkwi w Polsce. To Sobór św. Trójcy. Sobór ten zachwyca wszystkich odwiedzających. Konstrukcja, która wydaje się jakby zawieszona między niebem, a ziemią harmonijnie łączy w sobie nowoczesność i tradycję. Niestety do środka nie udaje nam się wejść. Powód jak zwykle ten sam - brak osoby, która mogłaby nam cerkiew otworzyć. Idziemy w tym celu na parafię, ale tam bezskutecznie dzwonimy do zamkniętych drzwi. A szkoda, bo słyszeliśmy, że wewnątrz cerkwi w Hajnówce robi niesamowite wrażenie. Niestety w przeciwieństwie do kościołów katolickich cerkwie są otwierane tylko w czasie nabożeństw. Oprócz nas jeszcze kilka przyjezdnych osób chce zwiedzić świątynię, ale pozostaje im to samo co i nam. A teraz czas relaksu! Znajdujemy osławiony już bar „U Wołodzi” i tam wśród radzieckich pamiątek i wizerunków Lenina wypijamy kufel zimnego piwa. Oczywiście „Żubra”! Bar „U Wołodzi” znalazł się na liście 50 najbardziej oryginalnych atrakcji turystycznych Polski opracowanej przez tygodnik Wprost. Znany jest nawet za granicą z hobby jego właściciela Wojciecha Rynarzewskiego, który od kilku lat zbiera wszelkie pamiątki związane z osobą i działalnością przywódcy rewolucji bolszewickiej. W malutkim lokalu znaleźć można co najmniej kilkaset różnych pamiątek związanych z Leninem. Są popiersia, znaczki, książki, obrazy, sztandary, elementy uzbrojenia i mundury. Po chwili ochłody i odpoczynku - a słońce pali dzisiaj niemiłosiernie - wyruszamy ku naszemu noclegowi, który zaplanowaliśmy na dzisiaj w schronisku w Dubiczach Cerkiewnych.

Widok schroniska przechodzi nasze najśmielsze oczekiwania. To jest nasz trzeci nocleg w schronisku w ciągu tej wyprawy, ale tak czystego i z takim zapleczem nie spotkaliśmy dotąd żadnego. Jedyne minus to brak ciepłej wody, ale jakoś sobie z tym radzimy. Jesteśmy w schronisku sami, gdyż Dubicze Cerkiewne leżą z dala od turystycznych szlaków. Sama wieś jest bardzo ciekawa. Jest tutaj aż 5 różnych wyznań, wszyscy żyją ze sobą w harmonijnej zgodzie. A więc najliczniejsi są oczywiście prawosławni stanowiący większość wsi, potem są zielonoświątkowcy, baptyści, świadkowie Jehowy i na końcu katolicy, których we wsi jest tylko dwie rodziny. A są tutaj tylko dlatego, że dwie dziewczyny z Dubicz wyszły za mąż za katolików i przyjęły wyznanie męża. Na naszych terenach jest to niespotykane. Po odpoczynku idziemy

do tutejszego batiuszki, bardzo otwartego, młodego człowieka aby otworzył nam zabytkową, drewnianą cerkiew, co czyni z wielką przyjemnością opowiadając przy tym o tutejszych ludziach, historii parafii, symbolach i znaczeniu przedmiotów w cerkwi. Po zwiedzaniu cerkwi idziemy jeszcze na spacer po tej ładnej wiosce, dokonujemy wpisu do książki pamiątkowej gości schroniska i po kolacji i kąpeli kładziemy się na zasłużony odpoczynek. Wybór schroniska w dniu dzisiejszym oceniając z perspektywy czasu okazuje się rewelacyjnym posunięciem. W namiocie byśmy tak nie odpoczęli przed tym co zrobimy następnego dnia, a mianowicie przejechaniu na rowerach 190 kilometrów!!!

Z prawosławnej Częstochowy do Parczewa

Śmiało możemy polecić każdemu to ciche i doskonale urządzone schronisko w Dubiczach Cerkiewnych (z kartą PTSM-u nocleg kosztuje w 2004 r. tylko 7 zł, bez karty 10 zł). Dobrze wypoczęliśmy przed najdłuższym i jak się okazało (tego zupełnie nie planowaliśmy!) ostatnim dniem naszej wyprawy szlakiem Polski Egzotycznej.

Z Dubicz Cerkiewnych wyruszamy po godzinie 9-tej rano. Za Dubiczami we wsi Jelonka widzimy skutki potężnego tornada, z domów oraz z budynków gospodarczych zostały pozrywane dachy. W każdym gospodarstwie trwają prace remontowe. Tuż za wsią, na dużej przestrzeni w lesie zostały tylko same kikuty drzew połamane przez wicher. Pierwszy raz coś takiego widzieliśmy dwa lata temu w Puszczy Piskiej, gdzie na przestrzeni 10 km las wyglądał jak po wybuchu bomby atomowej, a drzewa były połamane jak zapałki. Widok niezwykle przykry. To samo widzimy teraz w Jelonce. Kilka kilometrów dalej natrafiamy na ocalały z wichury bardzo ciekawy rezerwat florystyczny.

Od Jelonki przez prawie 40 km jedziemy równo, nie zatrzymując się na dłużej, aż do prawosławnej Częstochowy, miejsca cudownego z cudownych, Świętej Góry prawosławia Grabarki, ze słynnym lasem krzyży, piękną cerkwią oraz jedynym w kraju żeńskim klasztorem prawosławnym. Miejsce to ilekroć tutaj jesteśmy oczarowuje nas. Urzeka także licznych wiernych przybywających tu na pielgrzymki od prawie 300 lat. Grabarka ma w sobie przedziwny, nieodparty urok, któremu nie sposób się nie poddać. Poraża ciszą, spokojem i unoszącym się gdzieś w górze duchem modlitwy i pokoju. Ładnym lasem zjeżdżamy w dół gdzie wylania się mała drewniana kapliczka, która kryje w sobie bijące źródło. Powyżej źródła piętrzy się w górę porośnięte starymi sosnami wzgórze, na szczycie którego wznosi się cerkiew gęsto otoczona setkami krzyży różnej wielkości. To właśnie Święta Góra Grabarka, Święte Wzgórze Pokutników. Już w XVIII wieku utrwaliła się tradycja pielgrzymowania na Świętą Górę z krzyżami pokutnymi, stąd jej druga nazwa Wzgórze Pokutników. Przynoszone przez wiernych różnej wielkości krzyże wotywnie święcono i stawiano wokół świątyni, co dało początek obecnemu lasowi krzyży. Niestety przepiękna cerkiew Przemienienia Pańskiego w Grabarce którą postawili w 1789 r. wyznawcy obrzędu unickiego, przejęta później (po likwidacji na tych terenach Unii w 1839 r.) przez prawosławnych dziś już nie istnieje. Spłonęła doszczętnie wraz z całym wyposażeniem w 1990 roku podpalona przez nieznanego do dzisiaj sprawcę. Obecnie cerkiew zgodnie z życzeniem parafian zbudowana została na wzór tej XVIII-wiecznej, zachowując jej dawną bryłę i konstrukcję. Słynny las krzyży na szczycie wzgórza otaczający z

trzech stron cerkiew ocalał od pożaru. Tworzą go szeregi krzyży wotywnych różnej wielkości, częściowo zakrytych pomiędzy rosnącymi na wzgórzu drzewami. Stoją bardzo gęsto, co starsze i wyższe poprzekrzywiały się malowniczo niczym drzewa w prawdziwym lesie. Najstarsze z nich pochodzą z XIV wieku. Liczba krzyży na wzgórzu przekracza ponad 7000 tysięcy i co roku przybywa kilkadziesiąt nowych, przeważnie przynoszonych w czasie pielgrzymek na święto Przemienienia Pańskiego, największy prawosławny odpust w Polsce, odbywający się co roku 19 sierpnia. Kościół prawosławny w Polsce liczy około pół miliona wyznawców. Spośród tej liczby ponad 2/3 zamieszkuje wschodnią i południowo-wschodnią Białostoczczyznę. Charakterystyczną cechą prawosławia jest jego mistyczny charakter przejawiający się w bogatej obrzędowości i kultowości. Najpełniejszy wyraz prawosławie znajduje w sposobie odprawiania nabożeństw. Liturgia cerkiewna została nazwana „niebem na ziemi”. W cerkwi niemal każdy element ma jakieś symboliczne znaczenie. Najbardziej rzucającym się w oczy przy wejściu do każdej cerkwi jest ikonostas. Oddziela on ołtarz, czyli niebo od nawy, świata ziemskiego. Ikony rozmieszczone są w ikonostasie w określonym porządku mającym umożliwić wiernym kontakt z Bogiem poprzez kontemplację. Każde nabożeństwo w cerkwi odprawia się w języku starocerkiewnosłowiańskim, który także przez swą melodyjność podnosi nastrój sprawowanej liturgii. Jest ono znacznie dłuższe niż w kościele katolickim oraz bardziej barwne i głośnie. Dużo w nim głośnych modlitw oraz ognia, spala się bowiem wiele kadzideł i świec. Nie używa się instrumentów muzycznych, tylko śpiewa chóralnie bądź solowo. Ten niepowtarzalny nastrój na który składa się tajemnicza atmosfera wnętrza cerkwi, blask świec, zapach kadzidła i niezwykła harmonia śpiewów może oczarować każdego i przybliżyć nieba oraz tego co święte. Grabarka urzeka nas i fascynuje. Na pewno wrócimy tutaj jeszcze, aby znowu poddać się tej atmosferze...

Wyjeżdżamy z Grabarki około 14-ej. Po drodze wstępujemy na obiad do pamiętającego czasy PRL-u sklepu GS-u, gdzie zjemy standardowo po kawałku kiełbasy z pomidorem. Po obiedzie wjeżdżamy na tereny parku krajobrazowego Podlaski Przełom Bugu, bardzo malowniczego i dzikiego zarazem dzięki majestatycznie płynącej rzece Bug. Do Mielnika cały czas jedziemy drogą mając po prawej widok na dziko płynącą rzekę, a po lewej na wyjątkowej urody przyrzeczne łąki ze stogami siana. Dolina Bugu to istny ewenement w całej Europie Zachodniej, tej wielkości rzeki dawno zostały uregulowane i ucywilizowane. Bug pozostał dziki i niedostępny, sieje postrach zdradliwymi wirami. Rzeka zachowała swój naturalny charakter, kręty bieg z licznymi zakolami, starorzeczami i naturalnie bogatą dziko rosnącą roślinnością. Urok rzecze dodają spotkane na naszej drodze nadbużańskie wioski, gdzie ciągle jeszcze przeważa tradycyjna zabudowa drewniana. Wjeżdżamy do Mielnika i tam szukamy promu, aby przedostać się na drugą stronę Bugu. Najbliższy most jest za Siemiatyczami, do którego musielibyśmy się wracać ok. 20 km. Dzięki informacji przypadkowo spotkanej babulki dzwoniemy do sołtysa wsi, który świadczy usługi przeprowiania ludzi i samochodów promem na drugą stronę. Po jego przyjeździe ładujemy się na prom i po 5-ciu minutach jesteśmy po drugiej stronie Bugu. Tam w Zabuzu mamy nieoczekiwane przygody, zamiast skręcić w prawo skręcamy w lewo i wjeżdżamy na okoliczne nadbużańskie łąki. Po prawie godzinnej jeździe całkowicie błądzimy, ale lubimy przygody i takie wyzwania. Nie cofamy się nad Bug skąd przyjechaliśmy tylko przez łąki i pola, zupełnie na ślepo, nie wiedząc gdzie wyjedziemy docieramy w końcu do kolonii Zabuzę, gdzie wśród okolicznych ludzi, widzących nas jak

idziemy z rowerami po pas w zbożu, wzbudzamy pewną sensację. Nakierowani przez nich wyjeżdżamy w końcu na drogę do Serpelic.

Drogą, mając tym razem Bug po lewej stronie dojeżdżamy przez Serpelice, Borsuki, Gnojno i Stary Bubel do Janowa Podlaskiego. Miejscowości te dzięki walorom krajoznawczym Parku Krajobrazowego Podlaski Przełom Bugu przyjmują wielu turystów i letników. Nic dziwnego! Dolina Bugu z ładnymi wzgórzami, lasami łągowymi, dzikimi plażami pełnego tajemniczości Bugu jest naprawdę urocza. W Starym Buble mamy kolejną przygodę. Krowy idące z pastwiska całkowicie opanowują jezdnię i nie pozostaje nam nic innego jak wjechać w nie omijając jak tyczki slalomowe... Od Starego Buble do Janowa Podlaskiego teren jest pagórkowaty i te podjazdy kosztują nas sporo wysiłku. Zjazdem w dół jednej z takich właśnie górki dojeżdżamy do samego centrum Janowa Podlaskiego. Dochodzi godzina 18-ta, mamy za sobą 100 km drogi. Zaczynamy od zwiedzania janowskiego kościoła parafialnego p. w. św. Trójcy z barokowym wyposażeniem wnętrza i drewnianym ołtarzem pochodzącym z końca XVIII wieku. To najpiękniejszy zabytek tego miasta. Ale tak naprawdę znane jest ono na całym świecie ze słynnej stadniny koni, malowniczo położonej wśród nadbużańskich łąk, 2 km na północny wschód od Janowa. Z miasteczka wiedzie tam piękna lipowa aleja stanowiąca pomnik przyrody. Historia stadniny sięga XIX wieku, więc stadnina ta to nie tylko wspaniałe konie ale także zabytkowy zespół stajni. Niestety docieramy do stadniny po godzinach pracy, więc wszystko jest już pozamykane, nam zaś pozostaje tylko widok pięknych Arabów pasących się na łąkach należących do ogromnej przestrzeni stadniny janowskiej. Na jej terenie zjadamy kolację i około godziny 19-ej wyjeżdżamy z zamiarem znalezienia w pierwszej lepszej wsi noclegu... I tak jedziemy obok siebie wpadając w ciekawą dyskusję i planując kolejną wyprawę i mijamy pierwszą wieś, potem drugą, trzecią ... Nawet dobrze nie spostrzegamy się jak dojeżdżamy do Białej Podlaskiej.

Decyzję o tym że wracamy dzisiaj do Parczewa podejmujemy tak naprawdę dopiero wtedy, gdy mijamy tabliczkę z napisem „Biała Podlaska żegna”. Jest cichy sierpniowy, ciepły wieczór... Kiedy wyjeżdżamy z Białej Podlaskiej jest już po godzinie 20-ej. Do Parczewa mamy jeszcze 70 km. Montujemy światło z tyłu i wyruszamy ku ostatniej przygodzie tych wakacji. Wybieramy najprostszą drogę przez Rossosz i Wisznice. Odcinki leśne z uwagi na strach Ani przed lasem w nocy pokonujemy w błyskawicznym tempie. Pierwszy przystanek robimy po 40 km w Wisznicach, drugi krótki przystanek mamy za kolejne 10 km w Jabłoni. Do Parczewa docieramy przy padającej mżawce o godzinie 23:30. Pokonujemy w tym dniu na rowerze w ciągu 14 godzin 190 km!!! Kiedy dojeżdżamy do Parczewa czeka na nas kolacja u rodziców, a opowieściom nie ma końca pomimo późnej pory...

